

R E L A C J A

JÓZEFA TULISZEWSKIEGO

I/838

nagrana 18.06.1991 w Gdansk

przez Małgorzatę Strasz i Tomasza Gleba.

wersja zredagowana

Jak [w 1939] hitlerowcy szli - pracowałem w Gdyni - tu na Oksywiu wszystkich zagnali i trafiłem do Wejherowa do więzienia. To jest długie opowiadanie...

Zmierzam do AK. Wróciłem do domu 6 stycznia 1940 roku. Naturalnie wracałem przez zieloną granicę, mowi się "zieloną", ale to było zimą przez Bug po lodzie. Wróciłem do Bieniaków. Pamiętam, akurat na Trzech Krolu, jak widmo szedłem. Dzieciak jeszcze, 17 lat miałem.

1940 r. - stalinowska represja, wiadomo: sciany slyszą, nie wolno gadać. Ja pracowałem w "depie" kolejowym w Lidzie, zresztą Kazik [Kazimierz Tuliszewski], mój brat, też. To była dykcja białostocka, bo Białystok należał do Ruskich wówczas, Grodno i Lida też. Tam była ta kolej - *białostocka żeleznodaroga*.

Niemców widziałem w Gdyni jak wkraczali butni. Wiadomo, strach był przed nimi. Ja jako chłopak patrzyłem na to wszystko - z jednej strony po cichu czekałem tej wojny, ale jak zobaczyłem w stoczni tą pierwszą bombę niemiecką... Jezus Maria, miałem dość tej wojny od razu. Niemców znałem już trochę z Gdyni, zajęcie Gdyni, represje względem Polaków.

A tam w Bieniakoniach, jak Niemcy uderzyli na ZSRR, to był pamiętny dzień bodaj 21 czerwiec 1941 - nie wiem, czy wszyscy, ale miałem takie odczucie, że wszyscy się cieszyli, że to draństwo nareszcie ktoś goni. Komunistow. Wtedy nie było ważne, kto. I w Bieniakoniach takie odczucie było wszystkich, nasza ludność witała ich [Niemców] po prostu jak wyzwoliciele, naprawdę. Bo przez ten rok co NKWD już powyrabiała, od 17 września 1939 do czerwca 1941, to ludzie mieli już dosyć. Gdyby nie wojna, to cała rodzina byłaby

wywieziona, nie tylko my , ale i więcej. My już szykowaliśmy się.

A tych wywozek w 1940 udało się państwu uniknąć ?

Poszliśmy do pracy. Ojciec był wielkim patriotą, na kolei cały czas pracował. To było takie zakumflowane, ale potem okazało się, że najlepsi koledzy pracowali jako konfidentci dla NKWD. Można powiedzieć, że do NKWD zaangażowana była cała ludność. Nasza rodzina była zakwalifikowana do wywozu.

Ale ja pracowałem w Lidzie, Kazik pracował w Lidzie, szwagier na wodociągu, ojciec na wodociągu, na kolei. Na razie my nie wiedzieli o tym, czuli, ludzie tam podpowiadali, ale gdzie uciekać?

Te uderzenie Niemców to był rok 1941, czerwiec. Weszli do Bieniakoń. Syn akurat się urodził, jak bombardowali. Niedaleko był szpital i żona rodziła syna. Ożeniłem się bardzo młodo, w 1940 roku, mając 18 lat.

Tak jak powiedziałem, niezależnie od tego kto miał wyzwolić od tych komunistów, to my cieszyliśmy się. Naprawdę, ludność się cieszyła, przeważająca większość. Naturalnie Niemcy pokazywali rogi, rozstrzelali niewinnych. To już wiadomo, nie będę o tym opowiadał. To był jeden diabeł na jednej gałęzi. Stalin i Hitler to było to samo, powiedzmy. Takie same represje Niemcy stosowali, ale ja bym powiedział, że Niemiec wojnę prowadził, a mimo wszystko takich represji nie stosował jak Stalin.

Czy było getto w Bieniakoniach ?

Nie, nie było getta w Bieniakoniach, było getto w Wilnie. W Bieniakoniach koło kościoła zrobili ogrodzenia i Ruskie, wojskowi, których oni chcieli, tam byli. Potem ich wywieźli. W owym czasie, ktoś opowiadał, koszulę tam ukradli wojskowemu, Ruskiemu - to złapali tego, kto ukradł i rozstrzelali za to. Za koszulę rozstrzelać... ale taka była taktyka hitlerowska.

Potem tam jeszcze zapas wojskowy rozładowali w Bieniakoniach, ogromny pociąg, bo już nie mogli przelecieć dalej. Rabowali go. Można to rabunkiem nazwać, można nie nazwać. Bo wtedy ani Ruskich, ani Niemców nie było. Niemcy dopiero szli, Ruskie uciekli. Przez całą noc rabowali. Między

innymi ja miałem trochę, żywność. Zapas wojenny ruski. Tam wszystko było co do życia potrzeba. Nie tylko jedzenie i broń, wszystko. Potem Niemcy kazali to oddać. Grozili niektórym, ale nikogo nie rozstrzelali. Za siano ojca mego wzięli Niemcy, ale puścili. Takie drobnostki, przejściowe.

Potem nastąpiła okupacja niemiecka i już pierwszą akcją AK. Mnie zaangażowali w 1942, już widać było gazetki. Ja dostawałem te gazetki, rozwoziłem, do mnie przywozili - ja dawałem drugie. Dusza rosła, już widzieliśmy, że organizowało się. Polskich oficerów widzieliśmy w Bieniakoniach, nie w samych Bieniakoniach, tylko na wsi. Już taki duch szedł, że wojsko polskie, może z Londynu.

Wiadomo, ruch oporu się tworzył. Nie pamiętam tytułów gazetek, drukowane były w Wilnie. Tytuły były te same. Był taki sąsiad Błażewicz. On miał w Wilnie sklep drogerijny, wybudowany, bo forszę miał wiadomo w sklepie. W tej chałupie szpital był potem zrobiony. Jak Niemcy przyszli, wyjechał z Wilna i tu mieszkał. Te *podpolne* gazetki to on jeszcze...

Na wiosnę 1943 r. już oficjalnie należałem do AK, od marca albo kwietnia. Przysięga była naturalnie, pseudonim, taki na poczekaniu: "Zajac". No dobrze, niech będzie "Zajac". Wtedy dostałem pierwsze zadanie, byłem jako łącznik.

Dowódcą był kapitan Sztremer. On był kapitanem przed wojną. Sztremer to był pseudonim, a nazwisko - Truszkowski. Był kapitanem artylerii lekkiej za Wilią w Wilnie, szwagier służył u niego w wojsku.

Brat, ja i szwagier należeliśmy do oddziału kpt. Truszkowskiego. Na początku, naturalnie, zakonspirowane radio trzymać. Ja z tym radiem....

Za handel, za radio, za kaustyczną sodę, za naftę, za inne rzeczy, jeśli złapią to śmierć - rozstrzelanie. Człowiek na to nie patrzył - naftą targałem, musiałem się utrzymać. I akumulator wiozłem do ładowania, ten od radia, do Wilna. Pojechałem do Wilna z kolejarzami, bo też na kolei pracowałem, m.in. na wodociągu. I ten akumulator wiozłem, no i materiały, z Lelusiem - moim szwagrem. Dwa baniaki nafty po 20 litrów, na sprzedaż, na chleb.

W Wilnie domawiamy, jaka brygada jedzie na Bieniakonie

pociągiem i - do tendra. To tam, gdzie woda. Farowozy ciągnęły tender, tam wodę się nalewało. Albo gdzieś indziej schowało się i wiozło. A kolejarzom ćwiartkę czy pół litra dało się.

Zanim parowóz miał odejść, my w warsztatach siedzieli, w depie. Z depa wychodził parowóz pod skład pociągu, na peron. I trzeba nieszczęścia, że Niemiec:

- Wer? wer?

I do nas, co my tam robimy. To tam tłumaczył maszynista z Bieniakoń. To był taki strach.

Zadanie moje było słuchać Londynu, wszystkich stacji, zbierać ruchy wojsk w Bieniakoniach itd. i przekazywać do jednostek. Już placówki były, nasze oddziały na wsi, wiedziałem gdzie. Na przykład, było tam hasło. Jak podjeżdżam, dusza rosła. Rurkę skręconą do sterownicy w rowerze wepchało się i jechało się na placówkę. Podawali mi, do jakiej wsi, gdzie jakie oddziały nasze stoją.

Raz wpadł na inspekcję do mnie kpt. Sztremer-Truskowski, z miejscowym komendantem. Zona mówi:

- Idzie Truskowski.

Sprawdzić, czy te zadania, które mam, wypełniam. Posiedział. Antenę miałem zrobioną na strychu, tam bielizna wisiała. Otworek, jak trzeba było słuchać... A radio w kartoflach, w piwnicy trzymałem. Tylko wybrane było wszystko, zrobiłem takie pudełko. Sprawdził, czy to wszystko jest, podziękował, życzył mi, poszedł.

1943 wiosna - już oddziały normalne były, tam Niemcy nie mieli co robić. Na wsi, u nas była Polska. Mundury dla oddziałów szyli z płótna białego, farbowali na zielono. Kto miał mundury przedwojenne to przedwojenne, a kto nie miał, to miał te. Jak przyjeżdżało się, to ognisko paliło się, kuchnia polowa, karabiny stoją. Obóz taki. Jak przyjechało się z Bieniakoń, gdzie byli Niemcy, gdzie Litwiny kolaborowali z Niemcami - to jak do Polski.

Jeździłem do Gosieniszek, Tam był kiedyś folwark, akcja tam była, była akcja udana w Podweryszkach. Akcję na Bieniakonie prowadził Trzebnik Józef, "Czesiek". Mówili: "Czesiek" to wie gdzie uderzyć. W moim domu, w rogu

partyzanci ustawili karabin maszynowy - tarczówka, ta ruska. Za moim chlewem. Potem wpadli, bimbru naląłem im, a sam do piwnicy. Niedaleko, 200 metrów od mego domu była stacja Bieniakonie i wieża ciśnień. Tam był TODT i Litwiny. A tu z lasu, zaraz od stacji doświadczałnej [atakowali nas]. I zabrali Bieniakonie w Wielki Czwartek 1943. To była akcja na Bieniakonie.

W miejscowości Rakliszki był przez dłuższy czas sztab Truszkowskiego. W Puszczy Rudnickiej była partyzantka tego Ruskiego, zapomniałem nazwisko. Nawet Truszkowskiego podejrzewali o kolaborację z tymi Ruskimi. On jako komendant okazał się nasz. No, historia pewnie mówi, że on jednak trochę z tymi Ruskimi kolaborował, w pewnym sensie. Dużo nie wróciło, dużo było rozstrzelanych, a Wilk...

Gudermańce, wieś Kurzy, Lubarty, był taki ośrodek Troki - tam moje kuzynostwo mieszkało. W Trokach był folwark, tam też dużo przebywało naszych partyzantów. Tam była też moja rodzina, wujek Stefanowicz, Gołębiowski, siedział za to, potem w Warszawie zmarł. Potem wieś duża Polkiszki, folwark Górszczyzna - w stronę na Gudermańce, na Rakliszki, Zieleniszki, od strony Bieniakoń na wschód. Na zachodnią stronę były Podweryszki, Dziwiliszki, tam też duży ośrodek był. I Subotniki, tam, gdzie brat był. To nasze główne ośrodki. Tam Niemcy już raczej nie wchodzili.

Tak, rozwiązanie to był 1944 rok, lipiec, nie, to wszystko działało się na jezieni 1942, ale już na wiosnę były normalne oddziały, jak "Kryśia" oddziały, "Ragnera" koło Lidy - duże oddziały. Nasz Sztremera, Krzyżanowski, Poleszow był ten główny, ale nasze generalne w woj. wileńskim, nowogródzkim. Krzyżanowskiego, tzn. "Wilka" oddziały. Te punkty - Rakliszki, Dziwiliszki, Turgiele koło Wilna. Lida... nie pamiętam kto tam działał. Kryśia raczej za dużo chciał - i tu, i tam, ale był bardzo dzielny i zginął niestety za swoją ziemię. Trzeba było uciekać.

-Czy to prawda, że Ragner dogadywał się z Niemcami?

Słyszałem o tym, ale bym nie powiedział. Ragner też był bardzo dzielny, tyle co wiem. Może z racji swojego nazwiska, ale nie sądzę. Nie mogę potwierdzić. Z radziecką partyzantką

walczył.

Mój kolega, właściwie kuzyn Czesiek Poźniak starał się w sądzie dostać grupę inwalidzką za ranienie i podał w sądzie w Poznaniu, że było to w 1945 r. I słusznie, bo kiedy rozbroili podstępnie AK w Puszczy Rudnickiej, kiedy niektórzy uwierzyli, np. Wilk, w dobrą politykę Stalina... Uwierzyli w ich dobrą intencję.

Ciekawe, odbiegłbym od tego choć na chwilę, bo taki żal - nie tylko ja, my wszyscy mamy żal, siedzieliśmy za naszą Ojczyznę, za walkę i wszyscy coś tam włożyliśmy o Ojczyznę w tamtych czasach - żeby uwierzyć temu "wąsatemu"... Przepraszam, ale mnie szlag trafia do dziś. Krzyżanowski wtedy był generałem... Nie, dostał generała potem, sprzed wojny nie miał generała, o ile wiem.

Ja jeszcze powiem o Czešku. On się starał o pierwszą grupę wojenną. Sąd powiedział, że wówczas już nie było AK, że partyzantka była rozwiązana. Ale nikt nie wiedział, że oni zeszli do podziemia. Przebierali się, uciekali i walczyli. Wtedy on był ciężko ranny. Na jednym punkcie opatrzyła go jakaś pielęgniarka. A oni powiedzieli, już nasi, że to nieprawda: "podziemie AK-owców było do 45 roku", że rozwiązanie AK to lipiec 44. Słusznie, zgadza się, ale ci którzy do Puszczy puciekali, skryli się w Puszczy Rudnickiej i w wielu innych miejscach... Potem przedzierali się w jakiś sposób do Polski, a Rusaki penetrowali naturalnie.

Czesiek później to udowodnił, odnalazł tę pielęgniarkę. Z kimś z kimś z Warszawy się skontaktował, potem przez dziennikarza z Poznania. Jak później to wszystko wyszło, że nazwiska mogły wejść, to on mówił tak - "to była Antonina". Ona na Śląsku teraz jest - i ona go też rozpoznała. Ale ona nie chce o tym mówić. Jak oni kogo tam wyleczyli czy opatrzyli, to jak wyszedł za drzwi, to go Ruscy rozstrzelali. Ona szoku dostawała. Jako siostra partyzanta wyleczyła i przekazała, to oni go od razu rozstrzelali. Humanitarny *wzgląd*, to podejście do człowieka nazywa się. Nie wolno chorego zastrzelić, ale jak już wyleczył, to wolno. Tak to było. To był szok. Ona nie chciała o tym mówić. A on miał szczęście - udało się go jakoś schować i już. Jaki on miał

pseudonim nie pamiętam. Obecnie mieszka w Poznaniu przy ul. Krakowskiej 43.

Dalej - to był rok 43 - akcja bieniakońska (uczestniczyłem), akcja Podweryszki (uczestniczyłem) i akcja... nie pamiętam tego niemieckiego numeru, chyba 350. To był taki oddział. Tam bronie zabrali sporo, Niemców rozbili w Podweryszkach. A Dziwieniszki - to tam było trochę naszych rannych, ja byłem w odwodzie.

Początkowo byłem jako łącznik. Cały czas mieszkałem w Bieniakoniach - byłem żonaty - tylko brałem udział w akcjach. Podweryszki to kilometr tylko, Dziwieniszki 6 kilometrów ode mnie. Brałem udział w akcjach, a dalej działałem jako zakonspirowany łącznik: zbierałem wiadomości, miałem kontakt z komendantem i z Krzyżanowskim. Z samym komendantem - czasem on do mnie przyjeżdżał, czasem ja z nim spotykałem się. Nie osobiście, bo ja byłem za mały, szeregowy, żeby z Krzyżanowskim spotkać się. On do mnie tylko z komendantem sprawdzić przyjechał. Taka była ogólnie to moja działalność do lipca 1944.

W 1944 roku akcja Wilno - szło nas dużo, nie tylko ja, na Wilno, żeby wypełnić nasze oddziały. Jak do nas dochodziły słuchy, to tam fajnie szło początkowo. Szliśmy pojedynczo, nie oddziałami, ale koło Sołeczniak wracali z karabinami, prawie płakali chłopcy. Z karabinem jednego my spotkali, mówi:

- Wracajcie, nic z tego. Zdrada.

Wiadomo jak było. Do akcji wileńskiej nie włączyłem się, bo już nie było sensu. Rozwiązanie, jak wiadomo, nastąpiło w lipcu. Czernichowski aresztował cały sztab, niektórzy uciekli. Truszkowski poszedł przez granicę, związał się z Ruskimi. Krzyżanowskiego aresztowali, a reszta naszych dowódców to - kto gdzie uciekł, do Puszczy... wiadomo dalej, po rozwiązaniu poszli do podziemia.

Ja też byłem w podziemiu, bałem się trochę. Po cichu w dalszym ciągu ducha podtrzymywali sobie, ale ludzie podpowiadali:

- Co wy robicie? Uciekajcie.

I takich, którzy uciekli do Wilna, włączyli się do armii

naszej, w Lidzie pociągi były podstawione. Młodzież na ochotnika do naszej polskiej armii - przyjmowali do pociągu bez niczego i jechali. Między innymi kolegów moich sporo, też takich młodych, pojechało i kto nie zginął w czasie wojny pod Warszawą no to i do dziś może gdzieś żyje.

Moja sytuacja była inna, bo ożeniłem się za wcześnie. Jeszcze czasem mówię:

- Może gdybym się nie ożenił to też bym był...

Gorącym byłem patriotą wtedy i do dziś. No, ale żona jak to żona mówi:

- Teraz to z ciebie taki wojaka... Dziecko zostawić i żonę, i lecieć.

Myszę sobie: może... Tu była Polska i tu będzie Polska, mam na myśli Bieniakonie. Mówią: frajery, czemu nie pojechali. Ja mówię - no wiecie, ja jechałem, inni jechali, ale tu ktoś musi być. Uważamy, że to nasze ziemie wschodnie, kresy: Wilno, Sołeczniki, Bieniakonie i w ogóle wokół Wilna. Tam są tylko niektóre miejscowości, gdzie większość Litwinów, Białorusinów, ale i Białorusiny nie chcą tam... Oni rozmawiają po białorusku, ale to Polacy.

Czesiek kiedyś opowiadał o Krysi. Ona poznanianka, a on stamtąd, z Wilna. Pojechali więc kiedyś do Wilna pokazać jej kalwarię. Kościelny zamykał kościół, a on prosi, żeby pokazać, dla żony, "Ona tu nigdy nie była, ona z Poznania, a ja stąd, nasze tereny, kościół...". A ten kościelny nasrozył się na niego:

- Wy to zdrajcy - mówi - pojechaliscie, zostawiliscie tą ziemię. Nas tu więcej musi być w Wilnie, tu Polska. Po co wyjechaliscie?

To było kilka lat wstecz. Może to i racja, może nie. Historia dalej idzie i pokaze, kto będzie dalej żył, młodzież nasza, wnuki. Zostawmy dla historii osąd dalszy. Polacy tam są i działają, i to dobrze. Tak jak Polonia na Zachodzie, tak i Polonia na Wschodzie.

Kiedy byłem w Bieniakoniach nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, że Polski tam nie będzie. Nie tylko ja - mój ojciec, moi koledzy. My to jeszcze młodzi, zapalency, ale mój ojciec starszy już był - 1895 rok urodzenia. I wielu kolegów

mojego ojca, kolejarzy, urzędników i zwykłych ludzi, gospodarzy i ksiądz proboszcz. Ostatni proboszcz w czasie wojny przez Ruskich został aresztowany. Za co? Że raz na kazaniu "czarne chmury"... Przenośnia - czarne chmury nad nami. Wiadomo, Ruskie. Jakaś gnida znalazła się, przekazała NKWD. Aresztowali, w Irkucku umarł. Tam był wywieziony.

Patriotyzm był wielki. W Bieniakoniach, jak wszędzie, nachodzą się zdrajcy, ale generalnie jak się jedzie szosą Lida-Wilno, to lewa strona szosy - wszystko Polonia. Tyle, co ja wiem. Przecież cztery lata przed wojną to jeździłem do Wilna do szkoły podstawowej, chociaż w Bieniakoniach była. Mnie się chciało w mieście uczyć. To drogo kosztowało, ale ojciec kolejarz, to bilet darmowy miałem i dlatego chciałem się w mieście uczyć. Jechałem do Wilna z Bieniaków 52 kilometry, wsiadały dzieci do szkół, do gimnazjów, do zawodówek, do podstawówki. No, to Polska cały czas, można powiedzieć. Litwini byli w samym Wilnie, ale to była mniejszość. Przecież w Wilnie Litwinom nie to, co oni dziś robią, w czasie wojny robili. Mam na myśli 39 rok, 40 rok, po kościołach bili, różnie to było. I do dziś zęby szczerzą. No do kogoś muszą przylgnąć ostatecznie, jak i my. Jako państwo my przecież 35 milionów, a oni 2 miliony przed wojną. Dzisiaj też ta sama sytuacja. Mnie się zdaje, że im trzeba do Polaków się przykleić, nie do Ruskich. Nawet połączyć Litwa, Łotwa, Estonia - to co ?

Patriotyzm był naprawdę ogromny, nie tylko w naszej rodzinie, w ogóle na tych ziemiach. Gdyby nie ten patriotyzm, nie byłoby takich silnych oddziałów. Oddział tego Prichawicziusa w kalesonach puścili. Dopadli ich gdzieś koło Jasznia, zapomniałem, jaka to była miejscowość. General, ten Prichawiczius, chciał zęby pokazać, ale jak dostał od partyzantów. Jak rozwiązało się AK, to naturalnie, że było przykro. Ja byłem trochę za młody, dużo czytałem w szkole, o Syberii dużo czytałem i tak współczułem naszym, Polakom jeszcze z tamtej wojny światowej. I nigdy nie pomyślałem, że ja na Sybir trafię, bo za co? Walczyłem za Ojczyznę. Jak walczyłem tak walczyłem, też różnie było, ale o swoją Ojczyznę.

Nigdy nie pomyślałem, że coś takiego nastąpi, bo praktycznie za co? Naturalnie, potem się dowiedziałem...
Podpowiadali:

- Uciekajcie bo jesteście na drodze...

Niektórzy uciekli, a my zostali - tzn. ojciec, szwagier, ja. W Bieniakoniach pracowałem na wodociągu. Wieża ciśnienia była zerwana i trzeba było wodę pompować prosto do tendra. Dawał parowóz sygnał, że to kilometr było od wodociągu to ja słyszałem. Od razy włączałem pompę, pompowałem i woda od razu do tendra szła.

No i dyżur miałem na wodociągu, tzn. ojciec, ja i szwagier, Lonius. My we trzech obsługiwali Bieniakonie. Kazik, brat, był w Lidzie, a my tu. No i to był moment... Właśnie 13 grudnia, miałem dyżur nocny na wodociągu i zasnąłem. Miałem pościel w maszynowni i zasnąłem, drzemka i przyszedł - oficer. Lejtnant, stanął nade mną:

- Wstawaj - mówi.

Zerwałem się, uświadomiłem sobie, że to coś niedobrego, bo z pistoletem do mnie, ale wstałem swobodnie. Mówię, że jeszcze węgla podsypię, żeby parę zrobić. Drzwi, tam paczka z węglem. Otworzyłem drzwi, a tu na mnie z automatem. Cały dom był już obstawiony przez NKWD. On mówi:

- Nie biespakojśia, wstawaj!

A tu już z walizką maszynistę przywieźli, zastępcę, Ruskiego, swego. Tak pomysłane. Ten walizki postawił, a ja do domu. No to już lament i siostra, i matka, i ojciec - wszystkich zabrali.

Na dworcu, gdzie bilety sprzedawali, w Bieniakoniach nas zamknęli. Tam kasa, kratki. Przez noc - patrzę, coraz nas więcej. Kazika nie zabrali z domu. Kazik dokablował w Lidzie dopiero.

W jedną noc z 13 grudnia na 14 grudnia 1944 r - nie tylko mnie zabrali: brata, ojca, szwagra, potem znajomych, zwykłych ludzi, patriotów. Tam nie było jakiejś wyższej inteligencji, nie. Oni tak czyścili, bo to było wszystko sprzedane. Oni to mieli wszystko spisane, to kolejowe NKWD. Było takie zwykłe NKWD, na kolei NKWD działało, no wszędzie. My mieliśmy swoje NKWD, ponieważ my kolejarze. Pracownik, co podkłady wymieniał

na kolei, zapomniałem jego nazwiska, przyszedł już trochę podpity i rozrabiał trochę, to my go tam uspokajaliśmy.

Zony rano do tej kasy podeszły, to ja obrączkę zdjąłem, żonie oddałem przez kasę. "Do Lidy zabiora, pogadają i wrócę". Ostatecznie za co, myślę sobie.

W Lidzie przetrzymali nas, nie pamiętam dokładnie, może trzy doby. To był areszt czasowy: *капезет - прогаваритiельно заклучение* po rusku, areszt czasowy. Tam w takiej klitce, ciemno... Chyba po tygodniu przewieźli nas do Grodna. To już województwo - *област* Lidy. Naturalnie nocne przesłuchania, taktyka ruska. Tylko nocą, wymęczeni głodem, wszystko, co może być najgorsze dla człowieka. Człowiek był tam gorzej niż zwierzę. Śledztwo trwało nocami. To był grudzień, styczeń, luty, marzec... Nie pamiętam dokładnie.

Przerzucili nas do więzienia w Grodnie. Tam uważali, że to śledztwo już zakończyli. Taki Orłow, pamiętam, śledztwo prowadził. Dorobił się majora, a jakże. Czym więcej posadził tym więcej dostał tych gwiazdek. Pamiętam na takim jednym nocnym śledztwie - nic nie pytał, no nic, na umęczenie. Siedzi, coś pisze, a dalej słychać: piją. Jeden, to na własne uszy słyszałem, mówi:

- Co, nie możesz mu znaleźć sprawy? Daj mnie z ulicy - mówi - ja mu zaraz przyszyję. Idź na ulicę, przyprowadź - ja mu zrobię *дзiето*...

... znaczy sprawę jemu otworzy jako winnemu. Takie były sądy i śledztwa. Wiadomo o co chodziło.

W więzieniu czekaliśmy na sąd. Zaprowadzili - to były te słynne ich trybunały, *воjennyje trybunały*. Trzech tam siedziało. Jeden niby sędzia, może miał z siedem podstawówki. Może przesadzam, ale tak to mniej więcej wyglądało: jak dużo gadał, to zaraz go dali na sędziego albo kapitana, aby tylko śpiewał według ich śpiewki. Potem, jak zobaczyli, co się na Zachodzie dzieje, to może im troszeczkę było wstyd. No i zaczęli już te gwiazdki zmieniać, żeby żołnierz jakos wyglądał.

...No i trybunał. A jakże, wszystko, procedura... Dają mnie ostatnie słowo. Mnie i bratu. Ostatnie słowo. Co to daje ostatnie słowo? Po co ta procedura? Przyszedłby w więzieniu

do celi, przeczytał i już - rozstrzelać albo... No, ale powiedz, że nie było sądu. No powiedz. Był.

Na razie jeszcze wyroku nie czytają, ale te ostatnie słowo. Nie wiem, nie pamiętam, co brat powiedział, ale ja wstałem i mówię:

- Ja nie uznaję tego waszego śledztwa, ani sądu.

Dlatego, że byłem wychowany w duchu patriotycznym polskim, ukończyłem siedem klas polskich. Mając siedemnaście lat byłem naturalnie obywatelem wychowanym w duchu patriotycznym i walczyłem za swoją ojczyznę. Nie ma żadnej Białorusi. Mnie w szkole siedem klas nie uczyli o jakiejś Białorusi, słyszałem o ZSRR.

- ZSRR, ale Białoruś.

- Jaka Białoruś?

I naprawdę nie wiedziałem. W szkole nie mówiono przed wojną, że tam Białoruś, Ukraina. O Ukrainie trochę, a o Białorusi nie. A oni mieli pretensje do tych ziem naszych, a nie tam u nich. Może potem, w zawodówce czy gimnazjum, może tam by coś szerzej brali, ale ja siedem klas. Geografię bardzo lubiłem, historię. Geografię do dziś pamiętam, ale o żadnej Białorusi nie słyszałem.

- Z jakiej racji wy tu mi paragraf pchacie, czy tam wasz ruski. Ja jestem patriotą, ja za Ojczyznę walczyłem. Nie za waszą. Nie poczuwam się do obywatelstwa żadnego, ani do waszego.

A ten stał, nie wiem sędzia, czy kto. On do mnie:

- A wy głosowali?

- Tak, bom musiał - mówię.

No bo faktycznie musiał. Każdy za kratki... W 1940 roku, ile wtedy w zimie powywozili ludności, młodzieży. Raz normalny wieczorek zrobiła młodzież w Bieniakoniach. Normalny, zebrali się pogadać, trochę popili, niedużo, tak normalnie. NKWD zabrała wszystkich i wywozila. Między innymi był tam mój dobry kolega, Michaś Dudojcz. I masę tych osiedleńców, jak ich nazywali, legionistów, leśników, co niby panu służyli, lasy ochraniaли. Mojego kolegę i jego ojca wywiezli, bo był w Ameryce, wrócił i dokupił ziemię. Takich ludzi. Jednym słowem oni swego cienia bali się, i przed

wyborami wywozili.

A te wybory w marcu pamiętam, było zimno, mróz. To była bardzo ciężka zima w 1940 r. I spróbuj nie pójść. Naturalnie nie było mowy, że "nie wiedziałeś". Były generalne wywózki. Jak w czasie wojny, najpierw bombardują a potem wojsko idzie. Tak samo i tu. Najpierw powywozili, powywozili, postraszyli ludzi. Jak nie pójdziecie, to pojedziecie na Sybir. Co to był dla nich człowiek?. Nic. Musiałem. A to jeszcze: piąta godzina rano, to w każde okno szedł jakiś i pukał w okno - wybory, wybory. Już o piątej rano - i powiedz zes nie wiedział. Na chodnikach, na płotach, wszędzie było napisane, że wybory.

- *Nu vot* - jak głosował, to i obywatel.

No faktycznie, też prawda. Jak głosowałeś to i obywatel, znaj tu wytłumaczenia. I z paragrafu ciebie sądzili, a pał was sześć. Co było robić?. Takie były rzędy - z drugiego paragrafu bieloruckiego *szesdziesat tri, adzin - dziesiat liet i piat* pozbawienia praw, i konfiskata. Taki wyrok zapadł.

No i siedziałem 10 lat. Jak się przyjęło? Wiadomo - z nadzieją przyjęło się, miałem 22 lata, jeszcze młody i silny byłem. Z taką nadzieją, że nasza Ojczyzna jeszcze istnieje i zasłużyła się w czasie wojny. Wszystko miałem na myśli, i Zachód, i ostatecznie jaka ta wojna była, to była, ale jak przyjdzie zakończenie wojny, to przyjdzie jakas sprawiedliwość. Anglia, Francja, Ameryka. Nadzieję ciągle człowiek miał. Ja dzisiaj też tłumaczę wszystkim, dzisiaj w potocznym użyciu, bo u nas też niezupełnie dobrze dzieje się na razie w kraju:

- No ludzie, z nadzieją, trudno, od razu nie zbudujemy, wiadomo...

Tak samo jak wyrok przeczytali - tak jakby z uśmiechem przyjąłem to: "pał was sześć". Chociaż też przeżyłem to troszkę - ze względu, że żona, dziecko. Bo jakbym był wolny, to tak bardzo bym się nie przejął.

Warunki były straszne. Człowiek nastawiał się na to, żeby przeżyć. Po prostu przeżyć z nadzieją. Przeżyć, żeby doczekać się tego, co ja dziś doczekałem i wielu innych. Zawsze,

myślałem, szkoda mi tej Gdyni było, szkoda kraju, Polski. Szkoda najbardziej tego, że tak skrzywdzono, zresztą nie tylko mnie. Z drugiej strony tłumaczyło się, że tysiące, setki tysięcy, nie ja jeden. I ludzi bardziej wybitnych. Ja tam powiedzmy też coś zrobiłem, naturalnie, ale byłem szeregowcem, a oficerowie, tych Okulickich i innych... niewinnie. Potem się dowiedziałem, że tak się stało.

No trudno, taki los. Tak światem ktoś kieruje. Trudno. Gdzie rąbią, tam drzazgi lecą. I pogodziłem się.

Przez rok trudno było pogodzić się... Jak wywieźli przez Orszę, strasznie się działo, właśnie w tej książce to Solżenicyn opisuje to dokładnie. *Identycznie* opisuje te miotki, to stukanie, sprawdzanie.

Kazik, brat na pewno opowiadał, że jego tam w czasie transportu zbili NKWDziści. Nie jego to była wina, bo dłużył ktoś inny tę dziurę, żeby zobaczyć... Uciec nie było mowy. Gwoździem dłużył, brat mówił:

- Po co ty to robisz?...

Brat należy do bardziej spokojnych, do spokojniejszych nawet ode mnie w charakterze. On tego na pewno nie robił. Wpadli to dostał, zabrali go, zbili. Dobrze, że nie zabili, jeszcze i to mogli zrobić.

Przesyłka w Orszy, potem z Orszy przez północ: Moskwa, Mołotowsk, na północ tą całą trasą. Mołotowsk to taki porcik nieduży, tu nas załadowali. Jak nas przywieźli, to było trochę chłodno, sierpień, a chłodno było. Północnym morzem od Mołotowska wieźli, statek o wyporności 5 tysięcy, kobiety, mężczyźni. Zęby złote bandziory wybierali. Mówię bratu:

- Chowaj tę gębę...

Bo on miał koronki złote. My słyszeli, że zęby te ruskie bandziory, recydywa, wybiera na wódkę. Złota szukają wszędzie. Myślę sobie - jak oni te zęby będą wybierać bratu? A oni łyżkę na dziąsła, nożem dziąsła przekroili i wybrali tę złotą koronkę. Na pewno brat opowiadał, bo myśmy razem jechali: ja, brat i szwagier. Ojca wywieźli w innym kierunku, do Madaganu.

Wyładowali nas na Jeniseju, w Dudzince. To taki jenisejski port przeladunkowy, ale ponieważ to za polarnym kołem, to

czynny tylko latem, zimą wszystko zamarza. Ziemia zamarza do trzydziestu metrów. Kopie się i zamarza. Port czynny był tylko latem, a zimą to samolotami transportowymi dowozili.

Tam nas przetrzymali w takiej stodole – ogromny barak bez drzwi, wysokie prycze na jednej i drugiej stronie. Przeciąg, zimno.

Tam zachorowałem. Dobrze, że miałem dość silny organizm. Spuchłem, oczy to takie... trochę widziałem. Nic nie chciałem jeść. Kazik i szwagier wody mnie gorącej przynosili, a chleb co dostałem, to im oddałem.

Od Dudzinki do Norylska jest chyba 120 km. Do Norylska przyjechaliśmy na odkrytych wąskotorowych wagonach, jak bydło. Tylko przez wagon stał NKWDzista z karabinem, a my to tak skulone. Zdawało się, że wyrzuci z tego wagonu.

Jak przyjechaliśmy do Norylska, ustawili nas na takim placu, dokładnie nie powiem, ale nas było sporo. Zdaje się z pięć tysięcy, a może więcej.

- Jakie wrażenie zrobił na Panu klimat. Wygląd północy? To musiał być szok...

Tak. Czytałem kiedyś o Syberii: w kajdanach, pokazują, jak dużo ludzi ginęło... I tylko sobie to uświadomiłem: "z książki, a jednak trafiłem". Los mnie zagnał na ten Sybir – może za dużo tych książek o Syberii czytałem? Po swojemu to tłumaczyłem. Czego najbardziej mi było żal – że tak niewinnie. Nie bałem się.

Rok był bardzo ciężki. Człowiek prawie się psychicznie załamywał, za niesprawiedliwość, że nikt o nas nie upomni się. Na razie, no cóż. Po wojnie jakies wybory będą. Myśleliśmy o swojej Ojczyźnie, o kraju. Mielśmy gazety.

Rozlokowali nas w łagrach: szwagra do Szóstego, a mnie z bratem jakoś się udało i trafiliśmy do numeru Dwa, zaraz przy dworcu. Jeszcze tam te znawcy mówią, że my dobrze trafili. Na razie nie wiedzieliśmy, że to łagier roboczy, że tam przeważnie inteligencja w tym Drugim. To okazało się prawdą, a szwagra odłączyli, bo to jakoś po alfabecie. On Rewkowski, Leonard Rewkowski, szwagier, 1915 rok urodzenia. Taki chłop był zdrowy – jednak on zginął, a my nie.

Ja z tej choroby po tygodniu wyszedłem. Położyli mnie do

takiego pseudo szpitala, dawali streptomycynę, którą wycofali. Ona na nerki coś... To były tabletki. Jak zbadali to okazało się, że miały uboczne działanie na nerki. Chociaż ja to brałem i mnie ta opuchlina przeszła. No i normalna praca.

- Gdzie pan pracował?

Kwalifikacje do roboty: kto jaki zawód ma. Każdy kłamał, jeśli umiał i mógł. Ja tak dużo nie skłamałem, bo na wodociągu, przy ojcu, trochę ślusarki znałem z Gdyni, pracowałem jako uczeń w zawodówce. No to ja tam dużo nie skłamałem. Powiedziałem, że ślusarz. No, jak ślusarz to tu, jak stolarz - tu, jak nic, to tu... Ty jutro wychodzisz z taką brygadą, ty z taką. I mnie do brygady, do takiego przedsiębiorstwa - *spec stroj*. Tam dużo Polaków trafiło. Szawlinski Józef tam pracował, ale jego właściwie potem poznałem.

- Jakich Polaków spotkał Pan w tym obozie?

Tam już byli Polacy, ale nie mogę dziś powiedzieć. Nie przypominam sobie. Tam było dużo Polaków, nawet w tym Drugim obozie, ale już nie dysponuję nazwiskami. Pamięć zaciera się, zresztą dostałem szoku nerwowego będąc w więzieniu. Czuję, jak ode mnie odchodzi pamięć. Dostałem szoku. Mnie jeszcze mówili, że jak wrócę do normalnego życia, to pamięć mi wróci. To jest nieprawdą. Jak wróciłem, to szwagier Jurek mówił, że bym chociaż technikum zrobił. On był lekarzem, w Akademii, potem w stoczni. Ja mówię:

- Jak ja nie pamiętam, co wczoraj na obiad jadłem, technikum będę robił?

I do dzisiaj mam trudności. Nieduże - nie to, że nic nie pamiętam, ale czuję, że... Na przykład wnuczka: ona powie, jak ma na imię, a mi brak tej pamięci. Dlatego ja nie mogę powiedzieć, bo trzeba chociaż nazwiskiem operować. Tych co pamiętam, to pamiętam, ale było Polaków w Drugim łagrze dosyć sporo. Antos - on na skrzypkach grał, uczył się. Potem dramatyczny teatr w Norylsku był, bo tam naturalnie byli artyści, inteligencji, mieli oddzielny baraczek - i Antos był w tym teatrze. Czasem chleba nam podrzucił. Ładnie grał, to wzięli go. On wrócił, bo miał tu matkę. Przyjechał, ale do

narzeczonej wrócił do Wilna. Antos Marczyk, on i teraz w Wilnie. To wielki patriota, on i ona.

Byli w Drugim obozie chłopaki nawet blisko z mojej miejscowości, tzn. z okręgu Bieniakoń...

- Wspominał Pan, że były gazety - czytaliście gazety w obozie?

Tak, gazety nam dawali.

Potem byliśmy w innym obozie, on taki trochę reżimny był. Na górze... Stach Pszczółkowski, on dobrą ma pamięć, jak on opowiada, to ja go podziwiam. Mój brat miał dobrą pamięć. Tam było kilka łagrów i ten reżimny - GOR-łag. Tam Kazik zapoznał tę Marysię. GOR-łag: *gosudarstwienno-osobo-reżimnyj lagier*. Tam nie mogliśmy wyjść, byliśmy zamknięci na klucz. A ten *lagier* wcześniej to był ITL - *isprawitielno-trudowyj lagier*.

Tam było źle, były zaliczone dni za dobrą pracę itd. W tym GOR-łagu potem rozpatrywali sprawy: kogo uważali, że niesłusznie trafił do GOR-łagu, tego wołał NKWDzista na *rasbor spraw*. Pytali, gdzie mój ojciec. Ja mówię: "W Polsce".

Ciągnęli różnymi sposobami, żeby im *stukac*. Dni zawsze próbują, żeby kogoś do siebie wciągnąć. No ty tam - *skazi* o czym rozmawiali. Nie zgodziłem się. Pamiętam, Szawliński Michas się nie zgodził. Wiele z naszych nie zgodziło się *stukaczami* być.

- Czy byli w obozie Polacy, którzy zgodzili się na współpracę z NKWD ?

Pewno, że dużo.

Wtedy Kazika (brata) i mnie z powrotem przerwucili do ITL-u. Okazało się, że my według naszej sprawy nie podlegamy GOR-łagu. To było w 1953 roku jakos zimą. Styczeń, luty, wiem, że było strasznie zimno, w śniegu nas prowadzili.

Potem mnie rozdzielili z bratem, bo nie wolno w jednym łagrze. Trafiłem do innego łagru. Potem znowu się jakos złączyliśmy przez majstra z bratem. Potem ja objąłem znowu brygadzystwo, na kopalni pracowaliśmy. Powietrze sprężone prowadziliśmy, Kazik był u mnie w brygadzie i sami swoi. W ostatnim tym łagrze, bodajże łagrze numer Pięćna tych robotach w Rudniku był i Staś Pszczółkowski.

- W jakim Rudniku?

To była kopalnia rudy niklowej. Ciekawe - droga tam prowadziła między dwiema górami: jedna góra: węgiel, druga góra: nikiel. To było bardzo specyficzne miejsce. Ciekawe - tam węgiel, tu ruda, tylko droga rozdzielała.

- Czy Pan mówi o Wąwozie Śmierci? Czy pamięta Pan, jak się te góry nazywały?

Jedna góra nazywała się Szmidt - ten odkrywca Norylska. Ta, gdzie był węgiel. Ta góra na lewo nie wiem, jak się nazywała, nie pamiętam. Były tam jeszcze kopalnie odkrywkowe - 100 metrów rozkopali i brali koparką tę rudę niklową. Jeśli chodzi o poziomy, to było 175 na minus i ponad 200 na plus. Rozrabiali tę górę, a tam gdzieś zaraz dalej odkrywkowo robili tymi koparkami, wywozili kamień na bok.

No i wtedy podchodził ten czas nasz. Mysmy z bratem zarobili na tym Rudniku [zaczołów]. Stalin już zdechł - tak mówimy, że zdechł, bo takie nie umierają, tylko zdychają.

Wtedy poczuliśmy trochę (niedużo) takie drżenie, bo zrobili Ministerstwo Sprawiedliwości, którego nie było. Zaczęli sprawy rozbierać, kto słusznie, kto niesłusznie. To nie było dużo, ale zawsze coś. Tym, co byli od razu w ITŁ, zaliczali za dzień pracy dwa, a nawet trzy dni wyroku, jeśli wyrobił ktoś 150 procent normy. A wiadomo - jak dobrze z majstrem, to ci zawsze tę normę wpisze.

Jak to na emeryturę w Polsce Ludowej. Jak kolega szedł, to dawać jemu nadgodzin, żeby tą emeryturę lepszą miał. Taki system. I tam, i tu. Trochę przepisało się, ale nie można było wiele zrobić. Moi koledzy, którzy dostali do GOR-lagu, oni mieli 10 lat wyroków, po pięciu wyszli, po 30 tysięcy rubli zarobili...

I my z bratem aresztowani 13 grudnia 1944, a z obozu zwolnieni 13 stycznia 1954. Bez zaliczenia trzeba byłoby nam siedzieć do 13 grudnia 54, a tak my zarobili za te *zaczoły*.

- Jak wyglądał bunt w Norylsku?

Mnie tam już nie było, to było w tym GOR-lagu. Czarne flagi wywieszono. W co oni byli uzbrojeni? - to musiałby pan trafić na takiego Norylczana, który w tym czasie tam był. Ja byłem już w ITŁ. My tylko o tym słyszeliśmy. ITŁ był lżejszy.

Tam był surowy reżim, ja tam byłem rok czy dwa: nie można było pisać listów do domu, tylko raz na pół roku i były sprawdzane, robota była obowiązkowa dłużej, okratowane drzwi w środku, w łagrze. W łagrze normalnym wychodziło się na podwórze, a tam zamykali na noc. Ekstra reżim, nie było zaliczenia "dwa dni za dzień dobrej roboty".

W tym czasie u nas żadnych zamieszek nie było. Nie tylko tam, gdzie ja byłem, ale w ogóle w tych "normalnych" łagrach: ITŁ.

Było tak: katorżanie - KTR, potem stworzyli GOR-łag, a najłżejszy był ITŁ.

- Czy dochodziły do pana odgłosy walki?

Nie, odgłosy nie, bo to było dosyć daleko. Słyszeliśmy tylko z opowiadania tych, którzy tam gdzieś byli: przychodzili ludzie na przepustkach, którzy z łagrów wychodzili - mieli po dwa lata wyroku, potora, trzy, dawali. Dawali im przepuski, że nie chodzili do pracy pod konwojem, jak my, tylko normalnie szedł i wracał. Może stukali NKWDzistom?

- Czy to znaczy, że tylko w GOR-łagu był bunt ?

Tak, tylko w GOR-łagu, jeśli chodzi o Norylsk. W owym czasie, jak ja byłem, to tylko w GOR-łagu. Po tym, jak wyszedłem, to nie wiem. Bratowa czy Staszek Pszczółkowski, oni musieli zostać tam, to może mogą coś na ten temat powiedzieć.

- Jaki był stosunek do więźniów, którzy się zbuntowali?

Reagowano z radością. Jedni mówili, że coś będzie, inni, że nic. "Wiadomo, oni się z człowiekiem nie liczą. Wszystkich powystrzelają", stracha ludzie mieli. Jednak nie rozstrzelali, postawili jakieś warunki. Potem słyszałem, że Woroszyłow sam przyjechał, ale gdzie tam Woroszyłow... Jakiś przedstawiciel mógł być z Moskwy. Tak jak miał nasz Wilk rozmawiać z tym Czernichowskim, a z NKWD rozmawiał. Taki system - obłuda, zakłamanie na każdym kroku.

- Mówił pan o czarnych flagach - czy Pan widział takie czarne flagi?

Nie widziałem, ale wiem, że były. Opowiadali ludzie, którzy naocznie widzieli te czarne flagi. To napewno było w

GDR-łagu w Norylsku.

- Czy spotkał się Pan z taką nazwą "Kopiec"?

Kopiec, coś mi się kojarzy, ale może mogłoby pan rozszerzyć pytanie. O jaki kopiec chodzi?

- Było to prawdopodobnie miejsce jakiejś masakry, opowiadano o nim ze strachem. . . .

Może to nastąpiło potem, bo ja wyszedłem z GDR-łagu po rozbiórce tych spraw w styczniu 1950 r. Może to było związane ze strajkiem, może jakaś masakra nastąpiła. Nieoficjalnie, co potem odkryli i dzisiaj nazywa się "Kopiec", ale ja nie wiem.

- Czy słyszał Pan o oficerach polskich w Norylsku? Z 1939 i 1940 roku. . .

O grupie oficerów nie słyszałem. Po wyborach w Polsce w 1947 roku przywieźli do Norylska adwokata z Krakowa, nazwiska nie pamiętam, i przywieźli Józka Krawczyka z Bydgoszczy, który działał na rzecz rządu londyńskiego, ale był jako przedstawiciel województwa do sprawdzania wyników wyborów. NKWD go rozszyfrowało, do Warszawy, na Brześć i do Norylska.

Jeden siedział z wyrokiem 10 lat i kończył wyrok - z Moskwy przychodzi jeszcze dziesięć. On był dziennikarzem w Pekinie, taki dziadzia Wania, tak go nazywali te Chinczyki. Po chińsku rozmawiał, pracował w Pekinie - wiadomo, przeciw Stalinowi. Odwołali z Pekinu i siedział właśnie ze mną. Kulawy był, mówił, że tylko Stalina chce przeżyć. Jak Stalin umarł, to na jednej nodze tanczył.

Był taki oficer Szumski z AK. , wielu innych mogło być. Nie pamiętam innych nazwisk. Szumski to był nasz przyjaciel, my jego Lolek nazywali. Był ze Lwowa, był na Politechnice we Lwowie. On mógł być oficerem w AK, bo miał trzy lata Politechniki Lwowskiej. Podobnych na pewno było więcej.

- Czy słyszał pan w Norylsku o jakichś ucieczkach?

Tak, były ucieczki. W stu procentach nieudane. Wiadomo: takie polacie, tundra, błota, potem zaangażowani tubylcy. Ja osobiście nie słyszałem o żadnej udanej ucieczce.

Jak trafiłem do GDR-łagu, to po jakimś czasie główny NKWDzista, ten nad nami w łagrze, zawołał mnie. Powiadomili mnie, że mam się zgłosić. Wszedłem, od razu zapytał mnie:

- *Kak familia?*

Powiedziałem

- Tuliszewski.

Kazał jeszcze dwa razy powtórzyć i zapytał:

- Tuliszewski? A nie Tomaszewski?.

- Nie, Tuliszewski.

Okazało się, że Tomaszewski uciekł. Sądzieli, że złapali. Nie wiem, może inni norylczanie wiedzą, ale raczej ucieczki były nieudane. Musiały by być bardzo dobrze przygotowane, przecież trzeba było wytrzymać ponad 2000 km. A tam wszyscy miejscowi zaangażowani, dostawali proch, naboje, mąkę za złapanie uciekiniera.

- Czy często próbowano? Czy było dużo ucieczek?

Próby były, ale przecież przy bramie... Ja do dzisiaj nie mogę oglądać trupów. Leżeli przy bramie.

- Czy częste były wypadki samobójstw, chodzenia "na druty"?

Były. Nazwisk nie pamiętam, ale to, co przy mnie się stało, to było w GOR-łagu. Jak to w łagrach - opowiadaliśmy sobie, kto został w domu, kto żonaty, jak tam zona, dzieci. On też miał żonę, ale podejrzewam, że dostał jakiś list niedobry. Na pryczach leżeliśmy razem z nim, prycze były na górze i na dole. Ja miałem wtedy drugą zmianę, ale zanim poszedłem do pracy, to on otrzymał jakiś list i patrzył w okno zamyślony. Potem ja wyszedłem, a jak wróciłem z drugiej zmiany, to on już nie żył. Przeszedł przez płot, 50 metrow zaszedł i zastrzelili go. Potem w szpitalu leżał. Kto chciał, to mógł pójść zobaczyć. Ja nie chodziłem. Niestety nie pamiętam nazwiska, imienia też nie.

- Czy pamięta Pan rok? Kiedy to miało miejsce?

To mógł być chyba 1947 rok. Ja do GOR-łagu trafiłem bodajże w 47 roku - to mogło być w 49 roku albo 1950, bo w 1953 roku przerwali nas z bratem na ITL.

GOR-łagi były organizowane, dokładnie nie przypominam sobie, w latach 1943-48. Jak to zorganizowali, to jeszcze nas nie przerwali, dopiero w 48 lub 49 roku. okresie.

Takich wypadków dużo było. Pójść na druty, pójść pod kule... Wiem, że ten mój sąsiad, Polak, był załamany. Ja myślałem, żeby jakoś dożyć i wrócić zdrowy do domu, jeśli

będzie taka możliwość. Chociaż nie bardzo liczyłem na to, bo zmuszali nas, żeby zostać tam na *postelenie*. Ale zawsze te marzenia były, a u niego nic nie było życia, szczególnie po otrzymaniu tego listu. Tak to sobie wyobrażałem. W ogóle on nie był bardzo rozmowny. My na przykład, Polacy, siadaliśmy wieczorem - czy zjedliśmy do syta czy nie. Rozmawialiśmy, wspominaliśmy... Byli tam i tacy po podstawowce, po zawodowce. A był taki nauczyciel: załamany całkowicie. Nie było innej rady, tylko gnać go z naszego towarzystwa, bo on innego tematu nie miał: jak podszedł, to narzekał i ciągle mówił, że przywiezli nas tu na śmierć. Tak nie można. Nas to bardzo denerwowało - jak ktoś nie był przekonany, że może wyjdziemy, to powinien sobie szukać innego towarzystwa. Nie dał się człowiek przekonać. I takich było dużo, którzy się załamali. Było ciężko, bardzo ciężko i jeszcze się załamać, to koniec - albo na stryczek iść, albo na druty. Tak, jak zrobił ten młody człowiek. Innego wyjścia nie było.

Tego nauczyciela podtrzymywaliśmy, dalej pracowali, ale nie dał się przekonać, że nie tędy droga w takiej sytuacji. Trzymajmy się razem, mówmy nawet modlitwę po cichu, o czymś dobrym rozmawiajmy. A nie: "po co ta rozmowa, po co to gadanie?". Ciągle powtarzał, że jak nie umrzemy sami, to nas dobijają...

Owszem, było źle, ale nie aż tak źle. Nie groziło krematorium, jak w Oświęcimiu. W pewnym sensie przechytrzyli Hitlera, jak ja to mówię. Po co od razu zabijać? Można dać jakieś takie warunki i wymagać pracy. Po co od razu zabijać? Po co w krematorium palić?

- Czy zetknął się Pan z Polakami, którzy się załamali i zaczęli z NKWD współpracować?

Tak. Nie nazwałbym tego załamaniem, tylko zdradą. To są zdrajcy. To, że jemu źle było i on musiał, to nie jest żadne wytłumaczenie. Nie jemu jednemu było źle. Dla mnie to są zdrajcy.

- Czy dużo było takich ludzi w Norylsku?

To trudno powiedzieć, ale na pewno byli.

- Czy Pan osobiście nie zetknął się z takimi ludźmi?

Tak, tam na miejscu, w Norylsku znaleźliśmy. Ja osobiście nie

staralem się z tego żadnego użytku robić. On sam w życiu, taki człowiek, doszedł do wniosku, że nie poszedł taką drogą. Jeśli ma sumienie, to sumienie go zabije w koncu.

Byli: starali się o najlepszą robotę, no to musieli kogos sprzedać. Starali się jakoś przeżyć, jak innego wyjścia nie było, to *stukali*. Był nawet taki, z mojej miejscowości, tylko on nie był tam wywieziony jako polityczny, tylko za to, że ruskiego *priestiedatiela* pobił w Bieniakoniach. Grał na weselach i jak popił, to pobił go, dwa lata dostał. Nie można go zaliczyć do politycznego, nie był w AK. Może trochę pomagał w czasie okupacji, bo był Polakiem. Bracia bogaci, to ślali mu wszystko do Norylska. On był tak zwanym *nariadczikiem*. To było tak podzielone: brygadzysta jest na robocie, a w łagrze jest *nariadczik*, który ma pod sobą około tysiąca ludzi. To był taki więzień, jak kapo. On dysponował swoim pokojem, ładnie posłane jak w domu. On podobno *stukał*, ale mnie już nie było tam, słyszałem od innych, od kolegów.

- Czy likwidowano donosicieli?

Tam w tym czasie, kiedy ja byłem to na taki krok więzień by się nie odważył. Z góry można powiedzieć: przegrana sprawa. Jeżeli bym wiedział, że ktoś *stukał* i tę osobę zabił, nie było szansy wyjść z tego. NKWD zaraz by do tego doszło. W łagrze nie było to możliwe, chyba że po wyjściu ktoś to komus udowodnił. W obozie nie wyobrażam sobie.

- Czy nie znajdowano trupów. np. bez głowy?

Jeśli chodzi o łagry w Norylsku, nie będę tego ani potwierdzał, ani zaprzeczał. Byłem w łagrze numer jeden. Nie będę mówił o recydywie, która wojnę między sobą prowadziła, i dobrze, że się zwalczali: to nie byli ludzie, to była recydywa, ruska recydywa. Oni ze sobą walkę prowadzili na śmierć i życie, i były trupy, ale właśnie tej recydywy. Jeśli to ktoś opowiadał, to ja potwierdzam. Natomiast, jeśli chodzi o trupy między nami, tego nie zauważyłem. Nie było takiej możliwości, że zabiję i będę kryty.

To nie było sensu, jeśli miałem 10 lat sądzone i chciałem wyjść, wrócić do domu. Mogli wlepić jeszcze 10 lat - po co to komu? Nie rozstrzeliwali za to.

- Czy znał Pan nazwiska lub pseudonimy przywódców tej recydywy, błotnych?

Oni mieli *kliczki*, pseudonimy. Były nawet kobiety, na przykład taka kobieta "Maskwa", nawet mężczyźni bali się jej. Chodziła elegancko ubrana, w eleganckich butach, nikt by nie powiedział, że jest z łagru. Musiała wszystko mieć jak na wolności.

Dla recydywy łagier to był ich dom. Jak wychodzili na jakiś czas to pobawić się. Ukraść, zabić i znowu do domku, do łagru.

Między mężczyznami też byli tacy. Zwalczali się: byli suki, frajery i *czestne wory*. Te *czestne wory* liczyli się nawet ze mną, szarakiem - suka nie. On chieł zabierze, ukradnie. Taka była różnica. Oni walkę prowadzili, jak Rosja długa i szeroka, ile było łagrów. Wiedzieli, gdzie są główni ich przywódcy, takie mieli powiązania.

W więzieniu też tak samo było, z celi do celi strażnik przeprowadzał. W Grodnie był taki - nazywali go *major*. Jaki on major - elegancko w oficerskich butach chodził i strażnik otwierał, bo jego ludzie byli tam w celi. Tak to było, jak mafia.

- Czy słyszał Pan w Norylsku o fabryce makaronu?

Nie, nie słyszałem niestety.

- Czy widział Pan w Norylsku tajemnicze budowle lub może Pan o nich słyszał?

Tajemnicze, tak. To było koło TEC-u, elektrowni. Czasem zastanawialiśmy się, czy to nie jest związane z atomem. Jak przetrzucili mnie z bratem z GOR-łagru do łagru normalnego, to trafiłem właśnie do łagru - zapomniałem numeru - i właśnie na TEC-u pracowałem. Początkowo normalnie kopalem, bo jak przetrzutki robili, to nie pytali o zawód, tylko na ogólny. Śnieg przesypywali, robiliśmy porządki na podwórzu, zwykle roboty ziemne.

A to było na takiej górze, spod ziemi wychodziły trzy rury, dosyć wysokie. Smród był, jak wiatr powiał.

- Czy widział Pan koło TEC-u wykop w skałę? Wydrążoną na parędziesiąt metrów skałę? Tam koparki w dole pracowały, setki ludzi.

Może to było po moim wyjeździe. Nie mogę ani zaprzeczyć, ani potwierdzić. Było coś związanego z atomem, jeśli chodzi o Norylsk i cały ten okręg - to była ruda uranowa.

W fabryce koło TEC-u pracowali moi znajomi, koledzy z łagru. Mówili, że jak ktoś pracował w jednym pomieszczeniu, to nie wiedział, co jest obok. Jeśli miał przepustkę na wejście do tego obiektu, to tylko wyłącznie do tego pokoju - z tego pokoju odchodził do obozu. Co się robi w drugim pokoju - nie wiedział. Tajemnica.

Pracował tam jeden z moich znajomych - jako tokarz, coś toczył - i opowiadał, że jak wchodziło się do pomieszczenia, to konkretnie numer 1 przepustka. Nikt nic nie wie, wszędzie stało NKWD. To wszystko było pod ziemią. Było widac wartownię, ogrodzenie i te trzy rury. Duże, blaszane, może z nierdzewnej stali, dochodziły do parudziesięciu metrów. Gdzieś do 30 metrów.

- Jaki numer miał ten obiekt, czy pamięta Pan?

Nie, nie wiem.

- Czy to była fabryka numer 25?

Fabryka nr 25 - tam pracowałem, jak tylko trafiłem do Norylska. Tam kobalt wytwarzali, ta fabryka była jako wojskowa pod numerem 25. Natomiast koło TEC-u pracowałem nieco później.

- Czy w fabryce kobaltu też był komin?

Tak. Wszystkie wojskowe fabryki w Rosji miały numer. W tej produkowano generalnie kobalt. To najtwardsza stal, jaka może istnieć, używana w wojsku. Bardzo cenna.

- A czy była w Norylsku huta selenu? Czy słyszał Pan o takiej hucie?

Nie. Może później, to szybko się budowało. Ja wyszedłem w styczniu 1954 roku - przez 55 i 56 rok jeszcze ten system trwał... U nas do 1989 roku, tam jeszcze dalej.

- Czy zetknął się Pan z księżmi w Norylsku?

Tak, z księdzem Andrzejem, nie pamiętam nazwiska, z księdzem Ciszkiem. On był misjonarzem. To było w GOR-łagu. Jednego pamiętam, był *stukaczem* w Gestapo, ale poznałem go już później. Mówili, że był ze Śląska. Dla Gestapo Polaków sprzedawał, potem trafił do obozu. On był w GOR-łagu.

Pokazali mnie, że to też ksiądz, ale on *stukacz*. Tacy też się zdażali.

- Czy był stukaczem też w łagrze?

Nie, on trafił do Ruskich w jakiejś innej sprawie. Nie wiem, może w takiej jak my. Tak mówili. Ja to słyszałem od kolegów, którym można było dać wiarę.

- Czy zna Pan z Norylska jakieś kobiety, Polki?

Znam Górską Anię, narzeczona Antka z łagru. Nie, przepraszam Stacha Pszczółkowskiego, z łagru. Anka udzielała się wszędzie jako patriotka, do końca swego życia, tam w łagrze też.

Spotykaliśmy się idąc do pracy, a Pszczółkowski był w mojej brygadzie. Młody chłopak, strasznie zabiedzony, strasznie to przeżywał. W mojej brygadzie odzyskał jakos swoje, pracował jako hydraulik. Uważałem na niego i w ogóle na Polaków.

Bardzo dobry był ruski kierownik budowy Firsov. Inżynier budowlany, siedział niesłusznie od 1937 roku - jak wiadomo Stalin podejrzewał wszystkich wówczas o naduzycia, *maradiorstwo*. On pracował na kolei, dali mu 15 lat. Stalin mawiał: "Stu posadzisz to jeden będzie winny". No i ten Firsov za to siedział, opowiadał o tym. Budowaliśmy nawet łaźnię dla górników. Przyjeżdżał i sprawdzał, czy *pariadok*. Powiedziałem, żeby załatwił jednego do brygady. Zapytał, kogo, wymieniłem Stasia. Jak powiedziałem, że to mój kolega, od razu się zgodził i podpowiedział, że jak będę miał więcej swoich, to mogę zbierać do brygady. Potem był u mnie i Szawliński, Staś i wielu innych Polaków. U nas wszystko grało, ja ich rozumiałem, oni mnie rozumieli. Kiedys było zebranie, on powiedział, żebyśmy się starali, żeby wszystko grało. Ja wtedy powiedziałem, żeby pilnował, żebyśmy mogli dobrze zjeść. On zawsze pilnował: "Brygada Tuliszewskiego - 150 procent normy". Klepał mnie po plecach i mówił:

- Wiesz, trochę dopisałem...

Układy z nim były dobre, brygada też dobrze miała. Jak było coś potrzeba i mówiłem mu o tym, to on zawsze załatwił.

- czy znał pan jeszcze jakieś kobiety, Polki?

Znałem, miałem tam narzeczoną, ale to już nie była Polka.

Nazwiska nie pamiętam, Zuzia, Ukrainka.

A z Polek - naturalnie moja bratowa obecna, Marysia [Tuliszewska]. Było wiele innych, ale nie operuję nazwiskami. Na pewno Marysia pamięta. Ona robiła złot Norylczan, już chyba dziesięć lat temu, może więcej. Ja tam byłem, mój brat z Anglii.

Nie było pewności, że człowiek wróci. Kto wtedy myślał o tym, żeby wszystko zapamiętać? Myślało się, żeby zdobyć coś do jedzenia. Byle co. Po śmieciach nie chodziłem, inni chodzili. Różne rzeczy robili, ja tego nie robiłem. Staralem się dobrą pracą, jakimś innym sposobem, żeby trochę zjeść. Miałem nadzieję, ale nie miałem pewności, że będę żyć, że wyjdę. Trudno było cokolwiek przewidzieć.

Teraz nie można było przewidzieć wydarzeń 1989 roku, tak i wtedy - myślało się potocznie: "pokumali się z Ameryką, z Anglią. Gdzie oni wtedy byli?"

Przyszedł mi na myśl moment, jak Niemcy zajęli Gdynię. Powiedzieli, żeby wszyscy opuścili Oksywie, bo tam Marynarka Wojenna. Mieszkałem tam wówczas, na górze, była tam radiostacja. Na Oksywiu mogły zostać kobiety i dzieci do czternastu lat.

Ja byłem chyba za uczciwy, zszedłem. Trochę się dziwili, mówili, że przecież nie napisane, że mam szesnaście lat. Trzymali nas całą noc w elektrowni, w tym miejscu, gdzie teraz stocznia Komuna Paryska. Na Pomorzu dużo Polaków rozumie po niemiecku. Pilnowało nas dwóch Niemców z karabinami. Nasi do nich po niemiecku, że wojna nie skończyła się, jeszcze Hel, Kresy. "Polska nie kończyła się na Warszawie, jeszcze mamy Kresy, na Kresach dużo naszych pułków"... A ten Niemiec w śmiech. Zaraz przetłumaczyli, że on powiedział, że to już ruskie zajęli...

Czytałem w Norylsku gazety. "Prawdę" czytało się do góry nogami, ale coś tam zawsze pisali. Liczyliśmy na ten rząd, który po wojnie nastąpi, sprawiedliwy naturalnie. Te wybory, ciągle człowiek wierzył, że tu w kraju. A Ruskie w Norylsku mówili:

- Co wy tam, Polaki, tam o, taki but na waszej Warszawie, nasza siedemnasta republika. A tobie jak dzwonek zadzwonią,

to czekaj, wyjdiesz.

To mówili rusczy więźniowie. I wtedy właśnie w tej "Prawdzie" przeczytałem o wyborach, i ten Bierut, naturalnie NKWDzista. Jak mówiłem swoim, że Bierut rozstrzeliwał, tzn. podpisywał na Polaków wyroki, to nie wierzyli. Mówili, że to patriota.

- Czy może pamięta Pan jakieś humorystyczne zdarzenia z obozu, z Norylska?

W niedzielę, jak była ładna pogoda, w lipcu - było trochę artystów ruskich, naszych, różne narodowości. I Węgier jakiś był - wziął kubek i po rusku mówi:

- *Siejcias ja budu gawarit z żenoi, w Budapeszcie.*

W jaki sposób? To było na podwórzu, okrążyli go, a on wziął kubek blaszany do ucha, a tu kobiecy głos w kubku: "Budapeszt, Budapeszt". Głos jego żony. I tak rozmawia z żoną w ten kubek...

Zastanawiałem się jak on to zrobił. Ustami nie poruszał, a tu głos tej kobiety wyraźnie słychać, po rosyjsku. On mówił, żebyśmy zrozumieli. Brzuchomówca - nie wiem czy to możliwe, ale podobno tak.

Albo inny, też pokazywał te sztuki - mówi:

- *Smotritie...*

Wlał litr wody do bańki, wypił tą wodę, potem połknął ją - i znow leje tę samą wodę, czystą wodę. Wylał do baniaka tę samą wodę.

Jeden opowiadał, jak myśliwy idzie w las, a na brzegu lasu zając stoi i mówi:

- Masz przepustkę do lasu?

Naturalnie ten rok, półtora strasznie się przeżywało, nie okazywało się tego. Potem rozpoczynała się walka o życie, żeby przeżyć. Tak jak ten ruski powiedział:

- *Ty nie dumaj o Warszawie, dumaj, żeby wyjść.*

I miał rację.

- czy wtedy właśnie zaczęły się te rozmowy, wspominki. Czy wtedy się skończyły?

Trwały cały czas. Ci, którzy tracili nadzieję, załamywali się. Mówię tu o sobie i mojej grupie, o moich kolegach. Spotykaliśmy się i podtrzymywaliśmy się na duchu. Humorem lub

wspomnieniami o rodzinie, czytaliśmy listy. Chodziło o to, żeby odrzucić myśli, które nie sprzyjają doczekaniu wolności.

- Czy był ktoś, kto wyróżniał się humorem?

Właściwie wszyscy staraliśmy się. Mój brat i Lolek. On mnie nie bardzo lubił, może za spokojny byłem. Pamiętam - siedział z bratem, brat z tej strony był na pryczy, a ja tu. Lolek miał ekonomiczne wykształcenie, nie całe - trzy lata Politechniki. W łagrze pracował w księgowości i dostał jako uczennicę młodą Rosjankę. I po prostu ona w nim się zakochała, potem przynosiła mu jedzenie, masło. Ja nie widziałem tego przez całe dziesięć lat. Pamiętam, bierze to masło i smaruje Kazikowi chleb, a na mnie patrzy i mówi:

- Ziutek, nie będziesz już więcej jadł.

Pomyślałem: "żebyś tak zatkał się tym masłem i chlebem".

On bardziej trzymał się z bratem, mnie się nie bardzo podobał. To nie było ważne, nie miałem pretensji. Ale potem Lolka odłączyli. Jak NKWD dowiedziała się o tej uczennicy, to ją w jedną stronę, a jego zabrali i wywieźli. Do dzisiaj nie wiem gdzie.

Po co była taka miłość? Żenili się, małżeństwa były - potem matkę do karceru, dziecko gdzieś na wychowanie, wiadomo jakie. Po co to? Potem był temat do rozmów.

A dowcipy to wiadomo - wspominali różne, przedwojenne. Kto co miał. Trochę rozrabiało się. Jeden za pół obrotu w nerwy wpadnie, drugiego w ogóle się nie da. Pamiętam, Michas Szawliński na robocie trzymał żarówkę w ręku i bawił się. A ktoś tam:

- Michas, taki jesteś mądry, ale żarówki na pewno nie zbijesz.

- Co? - i trach o ziemię.

Teraz, mówię, zapłać. Czym zapłacisz?

Mój brat siedział na takiej fabryce kwasów, z kwasem siarkowym. To było niedaleko tecu. Beczki ogromne, czterometrowej wysokości. Podłączaliśmy tam rury. Siedzieliśmy na górze i rozmawialiśmy. Kazik trzymał lampkę, kablówkę i tak się bawił. Kwasu jeszcze nie było, całe szczęście. Jednego wrednego Ruskiego kiedyś tam wrzucili, to tylko dymek przysnął z niego. Kryminalni go wrzucili,

recydywa.

Kazik bawił się, żartowaliśmy. Przewód już otwarty - patrzę, a Kazik już na dole. Wpadł do tej beczki, cztery metry. Poszli i jakoś z powrotem, po drabinie Kazika wyciągnęli. Kulał, jakoś go do łagru doprowadziłem, zwolnienia nie dali. Wiadomo, przecież nie było zabezpieczenia.

Kazik nie miał szczęścia. Wymieniali rury w fabryce. We dwójkę z nim trzeba było wejść na drabinę, przy murku wnęka była. Postawiłem drabinę, Kazik wszedł i zaraz zawisł. Mnie na szczęście prąd nie złapał, jego dwa razy. Nie, mnie chwycił też raz, spawarka. Śmiali się, że krzyczałem jak baran. Mogłbym być w niebie, gdyby nie wyskoczyli. Nie mogłem wyrwać tego kabla. Prąd słaby, ale trzyma.

Jeśli chodzi o humor, anegdotki. Owszem. Najbardziej nam dokuczał głód. W tym Drugim obozie dowiedzieliśmy się, kto jest w piekarni stróżem na bramie. Wiadomo - jak on stróż, to i gospodarz. Trzeba było pracowników do noszenia mąki. Zgodził się, żebyśmy przyszli. Ja z Kazikiem poszliśmy, rozładowywaliśmy mąkę. Oczywiście było więcej osób, może osiem, dziewięć. Pamiętam wiadro, sojowa mąka już podprawiona olejem. Postawili nam na środek, dali każdemu łyżkę. Zjedliśmy całe wiadro sojowej mąki, ona jest syta. Do domu dali każdemu okrągłe bochenki chleba, pokrojone na cztery. Oprócz tego co mieliśmy normalnie.

Ponieważ my już po kolacji przyszliśmy z pracy, wchodzimy z bratem na te prycze. On nic nie mówi, ja też nie. Trzeba jedną cwiartkę zjeść, a drugą zostawić na następny dzień. Cwiartkę zjedliśmy. Tak, o głodzie może mówić tylko ten, kto przeżył prawdziwy głód, tak jak my. Jak w Dudzinie zobaczyłem biały chleb, to nie mogłem oczu oderwać. A to był dopiero początek.

- Czy pozostał po tych przeżyciach jakiś ślad aż do dzisiaj?

Napewno ślad został i trwał, jak wróciłem do Bieniaków. Nie było na przykład masła, słoniny, zwykłego tłuszczu nie widziało się. Jedynie oleje, ale w gorszym gatunku, nie słonecznikowe, sojowe. Były nawet takie, które normalnie używa się do transformatorów, wysokiego napięcia, albo z

bawełny. Skąd więc mieliśmy czerpać siły? Kartofle, zimą przeważnie mrożone.

- Czy po powrocie do domu zostały panu jakieś obozowe nawyki? Czy nie ma pan koszmarów sennych?

Moi koledzy bali się tych nawyków z łagru, słownictwa. Nie mogli powiedzieć zdania bez przekleństw, tam bez tego nie można było się obejść. Dla mnie i brata, i innych kolegów nie było to problemem, nie przyswoiliśmy sobie tego. Ale tam, u Ruskich jak nie rzuci się łaciną, to nic nie można załatwić, tam trzeba było. Delikatnie można było rozmawiać w urzędach, z dyrektorem, inżynierem. Był w Białej Wacie Polak, ale cały czas jego rodzice byli na Litwie, inteligentny, ale to już inni ludzie. Między ruskimi było też trochę inteligencji, ale ogólnie jeżeli nie przeklinało się, nic nie można było załatwić. To taki system. trzeba było krakać jak i oni, ale to nie znaczy, że ja w towarzystwie tak samo. Nie używałem tych słów, jeśli nie było trzeba. Inni jednak mieli problem.

- Czy koledzy obawiali się, że mogą mieć problemy z porozumiewaniem się?

Tak, zastanawiali się jak będą rozmawiać, czy nie będzie potknięć. To było jeszcze w Norylsku, wielu spodziewało się, że jednak dożyją. Ale zastanawiali się, jakie będzie to życie na wolności, skoro nie potrafią być między ludźmi, w towarzystwie. Mówiłem, że to nie prawda, że można od tego odwyknąć. Trzeba po prostu zastanowić się, uświadomić sobie, że nie jest się w Norylsku, w takim towarzystwie, gdzie czasem było to niezbędne dla własnej obrony.

U mnie właściwie nie pozostały żadne nawyki. Oczywiście słownictwo trzeba było trochę doszlifować, ale żargon kresowy trochę został. Nie miałem natomiast problemu ze słownictwem więziennym. Oczywiście, tam gdzie trzeba było, to używałem, ale na co dzień nie.

W towarzystwie interesowali się różnymi sprawami, to opowiadałem różne rzeczy, i dowcipne. Moich znajomych to interesowało, żona mówiła, gdzie byłem i synowi tłumaczyła skąd wróciłem, że jestem patriotą itd. Czekał na mnie syn i znajomi. Pierwsze spotkanie to były imieniny, pamiętam. Nie chciałem iść, bo nie byłem ubrany, ale solenizant przyszedł

po mnie osobiście. Zrozumienie było, ale z drugiej strony było mi przykro. W końcu trzeba było iść, z łózka wyciągnęli.

Wszyscy pytali o szczegóły. Między innymi mowilem, że w różny sposób ludzie zarabkowali. Na przykład jeden Ukrainiec po prostu koronki robił. Nazywali to "fiksa". Korzystał z mojego pomieszczenia, jak byłem brygadzystą. Miałem chłopaka, no pana w średnim wieku, żeby narzędzia wydawał. Był spokojny. Był jeszcze inny, który dokumenty brygady prowadził. On wszystkie nasze sprawy pisemne załatwiał. Ładnie pisał. Kazałem mu iść, żeby przyszedł z tą dziewczyną. A ta recydywa, ich "żony" i wszystkie, nazwijmy, lepsze babki z tej recydywy:

- Kto tu fikse robi?

A to on robił.

Naszykowana była mosiężna blacha. Zapytałem, jak on to dopasuje do zęba. Pokazał mi gwoździć dziesięciocalowy, pilnikiem obrobiną:

- Na tym gwoździu.

Kobiety zadowolone, po szlifowaniu wyglądało jak złoto, to było bardzo modnie. Nawet jeśli kobieta miała zdrowe zęby, to koniecznie chciała koronkę, dla ozdoby.

Ale było to też niebezpiecznie. Przyszła kiedyś dziewczyna i facet z recydywy, który jej asystował. On ją traktował i utrzymywał jak żonę, tylko w warunkach łagrowych. Miał wszystko, i ubranie, i jedzenie, wszystko jej dostarczał. Ale zachciało się jej "fiksy", ja o tym nie wiedziałem.

Zgodziłem się, powiedziałem, że zamknę (musiałem pójść i zobaczyć jak idzie robota) i zostawię klucze. Już chciałem wyjść, a tu ktoś z nożem biegnie i krzyczy:

- Kto tu "fiksy" wstawia?

Przeraziłem się. Pokazałem gdzie, ale było zamknięte. A ten krzyczy, że zabije. Powiedziałem, że to nie tak, jak on myśli. Jeśli nie wierzy, to niech wejdzie na drabinę i sam zobaczy. No i rzeczywiście, wszedł na górę, zobaczył i uspokoił się. Powiedziałem mu, że jak kobieta chce mieć "fikse", niech ma, przecież to modne.

- Czy śni się Panu obóz?

Nie. Może dlatego, że pogodziłem się z tym co się działo.

Wojna, wywózki, Katyń. Przecież ja to przeżyłem, o Katyniu czytałem w Bieniakoniach, były tam po polsku wydawane niemieckie tygodniki. W Katyniu zginął Czeglik, brat tego, który mnie zaprzysięgał. Już wtedy wiedziałem, że to Ruskich robota. Jaki mogę mieć żal, no do Ruskich napewno, do systemu. Mam też żal do Zachodu, jak podkreślałem. Dlaczego dyplomacja amerykańska, francuska, angielska.... W końcu się pogodziłem. Może ktoś inny mocniej to przeżywa, ja nie należę do takich. Ja i wielu innych to jak kruszynki, mniej znani, ale też zaangażowani w walkę o ojczyznę. W końcu się pogodziłem.

Byli i tacy, którzy nie zrobili nic wielkiego, ale głośno krzyczeli, bo trochę posiedzieli. Te pięć czy dziesięć lat. Mój szwagier nie żyje i wielu innych kolegów przy mnie zmarło. Ale my jeszcze żyjemy.

- W którym obozie w Norylsku zmarł Pana szwagier?

W Szóstym. Tam, gdzie z Kazikiem chodziliśmy do fabryki nr 25 - do pracy chodziliśmy dość daleko - po drodze była fabryka metalurgiczna, gdzie wytapiali metal. *Bolszoy* nazywała się.

Nasza droga prowadziła bramą wejściową na *promtaszczatkę*, dalej były tory, nasyp i tory. Tu wysypywali tą szlakę z tej fabryki. Tory miały potem zakręt i tymi torami wychodziliśmy na skarpę. Szliśmy torami kolejowymi aż do fabryki dwadzieścia pięć. Nie tak daleko, nie pamiętam dokładnie, kilometr czy półtora. Natomiast niedaleko zakrętu kolei był rozlokowany łagier nr.6. W dole, niedaleko torów, też był łagier, ale nieduży *katorżan* - dwadzieścia pięć. Potem był *pterlepicznyj zawod*, ale nie wiem jak daleko od nr.25. To tyle co pamiętam.

Raz spotkaliśmy tam szwagra, przy ziemnych robotach koło fabryki metalurgicznej. Zapytaliśmy go, co u niego słychać. Ten odcinek szliśmy wolno, potem nas przejmowali w fabryce. *Promtaszczadka* nazywała się. Była ogrodzona, jak wprowadzili nas do bramy, to szliśmy koło metalurgicznego, koło Szóstego łagru. Dalej na lewo był katorżański łagier nr 25, łagier nr 2 i łagier nr 6. W tym Szóstym był Loluś, szwagier. To był bardzo niedobry łagier, było tam ponad sześć tysięcy. W

Drugim ogromna różnica: i piekarnia w środku, inteligencja. Zawsze to było bogaciej. Natomiast tam był bałagan.

Koło Szóstego była jeszcze cegielnia. Metaluriczny to *Mied-zawod*, huta miedzi. Tam był przemysł miedziowy, niklowy przede wszystkim.

Ale potem, jak nas do GOR-łagu przetrzucili, tam budowaliśmy *Miedzawod*, *Miedstroj*. To było wtedy, jak przyjechaliśmy do Norylska.

- Czy to znaczy, że Pana szwagier zmarł zaraz po przyjeździe do Norylska?

Matka pisała listy do Moskwy, wszędzie. Dopiero przed naszym powrotem Moskwa powiedziała, że *po śmierci*, w sierpniu *sorok piatom gadu*. Matka dostała list w sierpniu lub w październiku 1955 roku. Matka miała do nas zał, że jesteśmy tam i nic nie wiemy. No, taki układ. Jak udowodnić matce, że "my tam i nic nie wiemy"? Dopiero jak wróciliśmy, to wytłumaczyliśmy, że niestety to tak, jak w tej fabryce - w jednym pokoju pracujesz i nie wiesz, co w drugim. Szósty łagier, spotkaliśmy go tam przypadkowo.

- Jak wyglądał Pana powrót do Polski ?

Mogę opowiedzieć w skrócie. To był 13 stycznia 54. Cały tydzień jechaliśmy: samolotem, pociągiem. Cały tydzień, no to dodać trzeba do trzynastki jeszcze te 10 dni, wtedy byłem w Bieniakoniach u brata. Trzy miesiące nie pracowaliśmy, bo szukaliśmy jakiejś pracy. Najpierw myślałem: "koło domu", a potem pomyślałem: "nie, gdzieś dalej". W każdym bądź razie urządziłem się w gorzelni w Sołecznikach, potrzebowali maszynisty na lokomobilę parową. Ale mnie tam nie bardzo się podobało. Poradzili mi Białą Wakę, że tam jest duże przedsiębiorstwo: karczują las, wydobywają torf.

Brat na razie pracował w Bieniakoniach, u kuzyna, a ja pojechałem tam do Białej Waki dowiedzieć się. Pojechałem, mnie się tam podobało. To było w Puszczy Rudnickiej, w lesie osiedle: domki, tylko sosny wycięli, gdzie dom stał, i las, gdzie to torfowisko robili to pod samą Puszcza Rudnicką. Mnie się podobało po takim przeżyciu.

Był tam mój znajomy, Kisiel Edek. Pracował tam, z żoną się

przeprowadził. Poszedłem do niego - mówi, że zaraz pójdziemy do biura, żeby coś znaleźć. Ja hydraulikiem bym się urządził, ale tam już budownictwo kończyło się, tylko już eksploatacja, więc raczej do budownictwa nie. Jak poszliśmy na eksploatację, powiedziałem, że nauczyłem się trochę spawac. Tutaj, w tym przedsiębiorstwie mogę być lepszym spawaczem niż ten chłopak, który u was spawa (tam był taki młody chłopak). Przyszliśmy do mechanika i mówię, że ja spawacz. Spawacz - od razu mnie do pracy. Stoję przed nim, a on do mnie, że bym szedł do pracy. Mówię, że najpierw muszę pojechać do domu. No i tak się urządziłem spawaczem w Białej Wace, potem brata sprowadziłem. Potem wrócił z łagru mój kuzyn Gołębiowski Janusz, jego też sprowadziłem. - Ten kuzyn też z Norylska przyjechał ?

Nie, on z Roszy przyjechał. Drugi był ten Antos, też z Roszy, ale już jego rodzina w Biskupcu była, to on nie zatrzymał się, pojechał do Polski.

- Gdzie ci kuzyni byli w łagrach? W jakiej części Rosji?

Ten Antos był w Magadanie bodajże. Złoto wydobywał tam. To był starszy facet, umarł, w Biskupcu potem mieszkał, jego żona nie była wywieziona. Natomiast Janusz Gołębiowski zmarł chyba na raka, 54 lata. Jest w Olsztynie siostra jego Grinia. Jego ojciec był patriotą, w Trokach działał. Ruskie go aresztowali, on tam siedział. Potem jak Niemcy przyszli, to on jakoś wyszedł, uciekł - ten Zygmunt Gołębiowski. Miałem z nim kontakty. Jak przyjeżdżał do Bieniakon, to do mnie zachodził, jego ojciec, bo Janusz nie. Tylko Janusz był wywieziony. Tutaj nawet chciał PZPR zmienić, należał, chciał to inaczej...

W Białej Wace czekałem. Nie wiedzieliśmy jeszcze jak z repatriacją, ale przyszedł Gomułka do władzy. No to już otwarły się drzwi na drugą repatriację. Wtedy postanowiłem, że ja tym razem skorzystam, to był rok 1957-1959. Ja chciałem skorzystać, ale żona chorowała, operację robiła w Wilnie przed samym wyjazdem. Ale ja już postanowiłem, bo naprawdę nie miałem tam jak rozwinąć skrzydeł, jak to się mówi. Miałem 5 lat pozbawienia praw i nie wolno mi było zameldować się ani w Wilnie, ani bliżej miasta. No i nie mogłem się tak

rozwinąć. W tej Wace pracowałem...

Potem już załatwiłem i mnie dowód wydali normalny w Sołecznikach. Opierali się, ale przyszedł jeden z milicjantów i mówi:

- Dajcie jemu ten dowód, dajcie spokój. To różnie w czasie wojny ponarabiało się. Już najwyższy czas skończyć z tym.

No i wtedy dali mi dowód normalny. To było już zaraz przed wyjazdem do kraju, ale ja już zrezygnowałem z tego wszystkiego, chociaż żona nie chciała matki zostawić. Powiedziałem jej, że jak nie pojedzie, to do Norylska jadę, na Syberię. Tak postraszyłem naturalnie. Wtedy zgodziła się. Wyjeżdżaliśmy w marcu, teściowa niestety nie pojechała, nie chciała. Załatwiłem jej, żeby jechała, ale nie zgodziła się. No i wyjechaliśmy, byliśmy, pamiętam, akurat na Wielkanoc 1959 roku. Na Wielkanoc przekroczyliśmy granicę, jeszcze w Brześciu Ruskie krzyczeli:

- Wasze Polaki tam święto robią, nie chcą przyjmować wagonów. To nie my, to wasze! - krzyczeli.

Bo my przyspieszaliśmy - dlaczego nas tam trzymają tak w Brześciu, na bocznicach. W towarowych wagonach. Oni krzyczą, że to Polacy świętują tak długo. Stąd wiem, że to była Wielkanoc 59.

Przekroczyliśmy granicę w Brześciu nad Bugiem, na Terespol. Z Terespolu potem na punkty przesyłkowe. Jastrzębia Góra za Władysławowem, tam był ten przesylny punkt, ale ja kombinowałem, żeby trafić do Gdańska, bo Gdańsk był zamknięty. Kto miał gotówkę większą... Ale ja nie miałem. Niektórzy kombinowali, a ja bałem się poprostu, żeby tam gdzieś handlować. Nie mówiąc o tych ludziach, którzy nie siedzieli - oni domy posprzedawali itd.

- Czy czuł się Pan bezpieczny po powrocie, czy obco, jak gość?

Powiedziałbym, że czułem się zadowolony. Dlaczego? Wracam jeszcze do tego tematu, że nas oskarżają, że "wy Polacy, pozostawiali; tu więcej Polaków" itd. Ale historia na razie tego nie potwierdza - tam potęga, Ruskie do dziś nie dają podskoczyć. Może tam coś się zmieni, ale to znów Białorusy będą.

Czułem się więc zadowolony. Tak, jak mój kolega, starszy ode mnie w latach, przed wojną był w wojsku - i mówił: "Żeby chociaż nasze dzieci język polski znały". Bo ci, co zostawali tam, tak jak my zbierali się i rozmawiali, normalnie śpiewali po polsku, bawili się. Imieniny czy z jakichs innych okazji. Ale ich dzieci to śpiewały już po rusku. Już polskiego zapominali. Mimowoli. Robiły maturę i chciały iść dalej... Kościół, religia, szkoła tu są po polsku, a tam nie.

Więc ja byłem zadowolony. Miałem jednego syna, no bo tak złożyło się. Ożeniłem się prawda wcześniej, ale potem nie było sensu, więc staraliśmy się na razie, żeby nie było. Potem znowu trzeba było ciężę usunąć jeden raz, ze względu na chorobę nerek. Bo z pierwszym dzieckiem, Marianem, zachorowała na miedniczki nerkowe i przed wyjazdem do Polski musiała usunąć nerkę, została z jedną. Dlatego miałem tylko jednego syna, no i więcej dzieci nie miałem. Więc przyjechałem, ale inni mieli więcej dzieci. Ja urządziłem się do stoczni. 21 kwietnia 1959 r. pracowałem już w stoczni gdańskiej.

- Co Pana tutaj najbardziej zdziwiło lub zdenerwowało, po powrocie ?

Tu mnie zdenerwowało to, że pomimo wszystko jest to samo. Od razu nie widziałem tego, byłem świeży, ale potem, w dalszym ciągu pracy - system ten sam. Pod dyktando Moskwy.

Tu bym chciał powiedzieć o moim takim odczuciu - w porównaniu "tam" i "tu", to "tu", w Polsce, było lepsze. Mając na myśli jeden system - nie rozróżniałem "system tam" i "system tu". To było to samo. Ale tu było trochę bardziej sprawiedliwie. I w płacy: nie było wypadku, żeby jakaś wypłata nie była w terminie wypłacona; wolne dni od pracy to były wolne (nie mówiąc już o wolnych sobotach); złotówka ta zarobiona - ja już zarabiałem dwa tysiące, dwa i pół, nawet trzy, no, to był pieniądz. Natomiast tam w Białej Wacie zarabiałem jako spawacz (na te stare jeszcze ruble, bo potem wymieniali jeden do dziesięciu) 800-1000 rubli. Co ja za nie mogłem kupić?...

Kazik miał na akordzie przy maszynie troszkę więcej. Dziewczyny, które tam pracowały, albo ci co normalnie

pracowali, zarabiali grosze. Moja żona w stołowce pracowała to miała trzysta rubli miesięcznie. Ale te ruskie partyjniaki mieli i po pięć tysięcy rubli.

Tu, jeśli chodzi o pracę, było bardziej sprawiedliwie. Można było utrzymać się za te dwa tysiące, nawet za tysiąc. Żona była kierowniczką żłobka, to tam też wiadomo, jakie płace były. Tysiąc złotych, siedemset złotych. Ale ja byłem fachowcem. Pracowałem w ciężkim zawodzie w stoczni.

Dalsze kształtowanie się cen - wtedy doszedłem do wniosku, że to jedno lichy i tam i tu. Lata siedemdziesiąte, jak je tu nazywają "złote lata" tego systemu, gierkowskie - to już nie było sprawiedliwości. Ci mieli sprawiedliwość, którzy mieli gębę i śpiewali za Stalina.

Antos Marczuk może i miał rację, że czerwone i tu, i tam, jedno lichy, jeden system. Wrócił do Polski, pojechał do matki, ale powiedział, że jak zobaczył komitety, te czerwone dywany, wszystko to samo, to go to zdenerwowało i doszedł do wniosku - miał narzeczoną w Wilnie - że może być tam.

Żadnych odszkodowań, nic. Wszystko przepadło. Mnie denerwuje ta sprawa - ja nie jeden, nas dużo takich, setki tysięcy na pewno w kraju... Jeśli Niemcy dają odszkodowanie, czemu u nich nic? Co to jest? Niemcy dali i jeszcze dadzą - a jak z tych chamów wyciągnąć, kiedy oni handlować nie chcą nawet?

Ludzie chodzą i cnotzą, i co wychodzą... A ja czekam ciągle na tę sprawiedliwość. Ja ciągle czekam. Kiedys mowilem:

- Jak mi Gorbaczow da nową kładę za 10 lat, to ja mu wybaczę i już.

A Słowik za 2 lata 128 milionów odszkodowania wysądził od budżetu biednego... Dalej jest taka jakas niesprawiedliwość. W pewnym sensie.

Jest też sprawiedliwość, bo jeszcze zdrowy jestem, i dane mnie od Boga może, że doczekałem, że cieszę się. Bardzo się cieszę, że naprawdę jest ta wolna Polska. A z drugiej strony denerwuje mnie, że ktoś za dużo wymaga. Bo nie sposób z systemu do systemu przejść tak ciach, ciach i już. Nie można, musi być ta ofiara, to wszystko.

Ja nie żądam właściwie nic, tylko chcę doczekać, żeby
sprawiedliwość nastąpiła jakakolwiek. Więcej wierzę w takie
coś jak państwo, jak komputerowe sprawy i czekam, że wreszcie
coś może... czekam. Choć jeden procent do emerytury niech
dadzą dla wszystkich. Jeden procent, bo 100% mam.

* * *

spisała Elżbieta Barabas